

SPOTKANIA

Życie nauczyło ją,
że nie wolno się
poddawać, więc
pielęgnuje w sobie
życzliwość wobec
świata i ludzi.

Zawsze
ktoś
na mnie
czeka



Tekst:
Katarzyna Zimmerer

Zdjęcia:
Zenon Żyburtowicz



Przez wiele lat zdawać się mogło, że Anna Dymna musiała się w czepku urodzić. Kochający, wspaniali rodzice, szczęśliwe dzieciństwo, pomysłnie zdany egzamin do Szkoły Teatralnej, widoczny talent i niespotykana uroda. Już po pierwszym roku studiów zagrała Isię w inscenizacji „Wesela” Wyspiańskiego w krakowskim Teatrze im. J. Słowackiego. Potem posypały się kolejne propozycje zawodowe. Występowała na scenach

teatrów, w teatrze telewizji i w filmach. Kończąc studia, miała na swoim koncie ponad 12 znaczących ról i angaż do Starego Teatru. Jej twarz pojawiała się na okładkach najbardziej poczytnych pism. Jej aktorski talent zdobywał coraz większe uznanie. Olśniewała urodą i wdziękiem. W dodatku była ukochaną żoną Wiesława Dymnego – postaci w tamtych czasach legendarnej, a dziś w pewnych kręgach kultowej.

- Byłam młoda i głupia, więc skąd miałam wiedzieć, że to jest szczęście? - mówi teraz, wzruszając ramionami. - Po tych wszystkich doświadczeniach, które los mi zesłał, jestem dziś znacznie bardziej radosna, niż byłam wtedy.

Bo szczęście nagle się od niej odwróciło. Najpierw doszczętnie spłonęło mieszkanie na strychu, które wraz z mężem wyremontowała własnymi rękoma. Ogień pochłonął dosłownie wszystko - z pożogi udało się uratować zaledwie kilka par ubrań. Bezdomnych państwa Dymnych przygarnęła przyjaciółka Ani, Ela Karkoszka, i jej mąż. Koczowali u nich w salonie i remontowali swoje mieszkanie. Trzy miesiące później Wiesław Dymny zmarł. Przyczyny śmierci nie udało się ustalić.

- Nagle odebrano mi ukochanego mężczyznę, który był dla mnie całym światem. Nie umiałam sobie wyobrazić życia bez niego. Czułam się tak, jakby mi usunięto grunt spod nóg - opowiada. - Na szczęście miałam zawód i przyjaciół. Dzięki nim przetrwałam, choć nie było wtedy we mnie woli życia.

Funkcjonowała mechanicznie, jakby z przyzwyczajenia. Występowała w teatrze, grała w filmie, spotykała się z ludźmi, ale w gruncie rzeczy to, co się wokół niej działo, nic jej nie obchodziło.

przestawałam być równocześnie młodą, naiwną dziewczyną i stawałam się dorosłą kobietą.

Nastąpiły miesiące żmudnej i bolesnej rehabilitacji. Nie wiadomo było, czy będzie mogła znów chodzić. Uparła się i zagryzając zęby z bólu, wykonywała kolejne ćwiczenia. Znów grała w teatrze i występowała w filmie... I wtedy zdarzył się kolejny wypadek. Tym razem poniosły konie ciągnące sanie, w których jechała jako Królowa Bona. Znów znalazła się w szpitalu. Znów kolejne miesiące spędzała na żmudnej rehabilitacji. Dwa lata później miała kolejny poważny wypadek samochodowy. Powtórzył się znany już scenariusz - szpital, rehabilitacja, ćwiczenia...

- Z biegiem lat przestałam sobie zadawać pytanie, dlaczego to wszystko musiało się zdarzyć akurat mnie - mówi Anna Dymna. - Naszym życiem rządzi jakaś logika, której nigdy nie uda nam się pojąć. Wierzę jednak, że w tym, co nas spotyka, jest jakiś głębszy sens i nie buntuję się już, że nie zawsze rozumiem, na czym ten sens polega.

Kiedy pytam, czy jest osobą silną, śmieje się i mówi, że w gruncie rzeczy jest istotą bardzo słabą i wrażliwą.

- Słabość wynika z braku celu w życiu, dlatego tak nim kieruję, bym zawsze mogła czuć

Skąd bierze się cierpliwość i uwaga, jakie ma w sobie dla wszystkich ludzi, którzy ją nieustannie otaczają?

Trzy miesiące po śmierci Dymnego zdarzył się w jej życiu kolejny tragiczny wypadek. Jechała na plan zdjęciowy na Węgry. Kierowca zasnął i samochód wpadł na drzewo. Miała dopiero 27 lat.

- Paradoksalnie ten wypadek wyrwał mnie ze szpon psychicznego kryzysu, w który zaczynałam powoli wpadać. - wspomina Anna Dymna. - Odyskując w tym węgierskim szpitalu przytomność, uświadomiłam sobie nagle, że ja przede wszystkim i bez względu na wszystko chcę żyć. Obudził się wtedy we mnie najbardziej pierwotny z ludzkich instynktów, o którym na co dzień zapominamy. Pograżeni w rozpacz z powodu większych lub mniejszych nieszczęść przestajemy w naszym życiu dostrzegać jakikolwiek sens. Ale kiedy nagle tracimy wszystko, kiedy znajdujemy się w obliczu śmierci, zaczynamy rozumieć, że życie, bez względu na całe zło, jakie nas w nim spotyka, jest samo w sobie wielką i niepowtarzalną wartością. Kiedy to zrozumiałam, postanowiłam za wszelką cenę być zdrowa. Powracając powoli do siebie,

się potrzebna. Gdybym się obudziła pewnego ranka ze świadomością, że mam przed sobą dzień, z którym nie wiem co począć, tobym chyba zwałowała.

Tego, że należy żyć dla innych, a nie dla siebie, nauczyła ją mama, niedościgły dla Ani wzorzec dobroci i oddania drugiemu człowiekowi. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jako osoba publiczna ma znacznie większe możliwości pomagania innym ludziom, niż miała jej mama. Dlatego puszką do zbierania pieniędzy pojawia się w jej rękach kilkanaście razy do roku. W Zaduszki, kiedy prosi o datki na odnowę Cmentarza Rakowickiego, na rautach i bankietach, kiedy zbiera fundusze na budowę szpitala onkologicznego czy dofinansowanie jakiegoś domu dziecka, podczas Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy i podczas niezliczonych akcji charytatywnych, których jest współorganizatorem.

- Nie cierpię uczucia bezradności, więc kiedy się pojawia, od razu myślę, jak mogę mu zaradzić.

Nie mogę siedzieć beczynnie przed telewizorem, wysłuchując informacji o tych wszystkich nieszczęściach, jakie nieustannie spadają na ludzi. Dlatego wolę działać, choć wiem, że takie działania są zapewne tylko kroplą w morzu ludzkiego cierpienia - mówi. - Ale przecież morze składa się właśnie z kropel.

Dwa lata temu jako pierwsza i jedyna kobieta otrzymała Medal im. Brata Alberta za pomoc osobom niepełnosprawnym. Pół roku później zorganizowała Pierwszy Ogólnopolski Festiwal Twórczości Muzyczno-Teatralnej Ludzi Niepełnosprawnych Umysłowo „Albertiana”. Eliminacje przeprowadzali terapeuci na szczeblach wojewódzkich. Finał, w którym wzięło udział sześć zespołów, odbył się w Krakowie w Teatrze im. J. Słowackiego.

- Ten medal mnie zmobilizował - opowiada. - Kiedy go odbierałam, nie miałam poczucia, że na niego w pełni zasłużyłam. Owszem, pomagałam czasem tym ludziom, ale uznałam, że to za mało, że ja mogę dla nich zrobić znacznie więcej i dlatego zorganizowałam Festiwal.

Od dłuższego czasu jeździ regularnie do ośrodka dla osób upośledzonych umysłowo w Radwanowicach, gdzie prowadzi zajęcia teatralne.

- Ci ludzie żyją na obrzeżach naszego życia. Nie chcemy ich wśród nas, bo są inni, wyglądają inaczej, inaczej się zachowują, a my nie jesteśmy w stanie ich pojąć. A przecież tak wiele moglibyśmy się od nich nauczyć. W przeciwieństwie do nas, ludzi zdrowych, nie ukrywają emocji i uczuć. Od razu wiadomo, kiedy im przykro, a kiedy przyjemnie. Spontanicznie okazują swoją radość i wdzięczność za to, że ktoś się nimi interesuje. To oni uczą mnie tego, jak bardzo człowiek jest potrzebny drugiemu człowiekowi.

Wierzy, że najważniejszym motorem życia jest miłość. Dobrze wie, że są i tacy, którzy po prostu nie mają kogo kochać, bo sama przecież doświadczyła tego stanu po śmierci ukochanego mężczyzny. Są jednak różne rodzaje miłości.

- Mimo złych doświadczeń nie wolno się zamykać przed miłością, bo ona zawsze dodaje nam skrzydeł. Los, ciężko doświadczając człowieka, może go oczywiście złamać, ale może też wzmocnić. Gdy tracimy to, co zdawało się dla nas najważniejsze, zaczynamy nagle doceniać to, co nadal mamy, i uczymy się cieszyć z drobnostek - słońca, ptaków, czyjegoś uśmiechu lub dobrego słowa. I z tych codziennych radości rodzi się nasza siła, która pozwala nam nie tylko nadal żyć, ale również to życie kochać.

Potrafi godzinami opowiadać z zachwytem o sprawach najprostszych, które wielu z nas przestało dostrzegać w pośpiechu dnia codziennego. Jej opowieści o kocie, który przyniósł znów do domu zdechłą mysz, o różach z jej ogrodu, które nie



przetrwały zimy, o kolorowych kwiatach, które właśnie pojawiły się na jednym z jej drzew, brzmią jak najpiękniejsze baśnie i sprawiają, że oczarowany słuchacz choć przez chwilę zaczyna patrzeć na świat jej oczami. Ale najchętniej Anna Dymna opowiada o swoim synu Michale. Choć związek z jego ojcem zakończył się rozstaniem, ona nie chce się skarżyć.

- Po co? - wzrusza ramionami. - Zamiast trać energię na bezsensowne żale, lepiej ją poświęcić na zastanowienie się nad własnymi błędami. A zresztą! Jak mogę mówić w tym wypadku o porażce, skoro mam tak wspaniałe i udane dziecko!

Taki sposób myślenia jest jej receptą na

wieczną pogodę ducha. Zawsze i wszędzie dostrzegać wyłącznie to co dobre. Nie szukać dziury w całym, nie narzekać, nie tracić energii na myśli czarne i negatywne, cieszyć się tym, co nam przynosi los... Może to właśnie dzięki tym zasadom uśmiech rzadko znika z jej twarzy?

Jeśli nie jest akurat poza Krakowem na kolejnym planie zdjęciowym, potrafi wstać przed szóstą rano, żeby skosić trawę w ogrodzie. Na siódmą zawozi syna do szkoły. Wiele lat temu w ramach oswajania panicznego lęku przed jazdą samochodem zrobiła kurs prawa jazdy, ale mimo to nadal nie chciała prowadzić. W końcu życie ją do tego zmusiło. Kiedy przeniosła się z rodziną do małego domku pod miastem, musiała wreszcie sięgnąć za kierownicą i dziś jest świetnym kierowcą. Po odwiezieniu syna przesiada się na rower. Rano jedzie na próbę w teatrze, w południe na zajęcia ze

Wierzy, że najważniejszym motorem życia jest miłość, ale wie, że są i tacy, którzy nie mają kogo kochać.

studentami Szkoły Aktorskiej, wieczorem na spektakl. W przerwach pędzi na nagranie do radia, zasiada w jury najróżniejszych konkursów, organizuje kolejne spotkanie Krakowskiego Salonu Poezji lub jeszcze jedną akcję charytatywną. Albo działa w ramach Fundacji Starego Teatru, która w związku z zapaścią finansową tegoż teatru przejęła jedną z jego scen. Żeby ją utrzymać, aktorzy będą występować na niej nawet za darmo, ale to jest już zupełnie inna opowieść.

Skąd bierze się cierpliwość i uwaga, jakie ma w sobie dla wszystkich ludzi, którzy ją nieustannie otaczają, i dla wszystkich spraw, jakimi się zajmuje? Nie odpowiada wprost, lecz mówi, że stara się żyć tak, by z biegiem lat nie zamienić się w zgorzkniałą babę, która ma wieczne pretensje do losu i świata o to, że jej się w życiu nie powiodło.

- Zawód aktora jest bardzo okrutny, zwłaszcza dla kobiet. Czas mija nieubłaganie i coraz mniej jest dla nas ról, coraz rzadziej chcą nas angażować. A w dodatku ciągle i nieustannie jesteśmy poddawani ocenie. Trudno mi nawet opowiadać o tym, ile mam za sobą nieprzespanych nocy ze zdenerwowania, czy potrafię poradzić sobie z odpowiednią interpretacją tekstu, ile łez wylałam z bezsilności, że nie wiem, jak mam daną rolę zagrać. W dodatku najpierw pracujesz w pocie

czoła i dajesz z siebie wszystko, a potem krytyka rozszarpuje cię publicznie na strzępy i często trudno sobie z tym poradzić. Dlatego też zajmuję się tysiącem spraw niezwiązanych z zawodem, bo to pozwala mi zachować pewien dystans zarówno wobec mojej pracy, jak i własnej osoby. W gruncie rzeczy robię to wszystko wyłącznie dla siebie.

Krakowski Salon Poezji też założyła przede wszystkim dla siebie. Kilka miesięcy temu martwiła się, że wiersze zniknęły z naszego życia, bo telewizja przestała już produkować programy poetyckie. A ponieważ nie lubi poczucia bezradności i narzekania, postanowiła przekonać się, czy rzeczywiście poezja przestała być już komukolwiek potrzebna. Najpierw do swego pomysłu przekonała męża Krzysztofa Orzechowskiego, dyrektora teatru im. J. Słowackiego w Krakowie, który udostępnił jej foyer tegoż teatru. Potem zadzwoniła do kilku kolegów aktorów z pytaniem, czy zechcą czasem poczytać wiersze, nawet jeśli nie będą dostawać za to pieniędzy. Zgodzili się natychmiast.

Skąd bierze na wszystko czas? Wzrusza ramionami i cytuje fragment Eklezjasty o tym, że człowiekowi po wygnaniu z raju pozostała tylko praca, bo ona jedynie może mu dać prawdziwe szczęście.

- Poważnego stosunku do pracy nauczyli mnie najpierw rodzice, a potem Wiesiek Dymny. Kiedy wychodziłam za niego za męża, miałam 20 lat, a ponieważ on był znacznie starszy, miał na mnie wielki wpływ. Zawsze mi powtarzał, że fakt, iż moja twarz jest rozpoznawalna na ulicy, nie znaczy wcale, że jestem w jakimkolwiek stopniu lepsza od sprzątaczk. Mogę być tylko od niej gorsza, o ile nie będę rzetelnie pracować. Miał oczywiście rację. Bo w zawodzie aktora ważny jest nie tylko talent, ale przede wszystkim pracowitość. A praca, która daje ci satysfakcję, może stać się sensem twojego życia. Dzieci dorastają i zakładają własne rodziny, partnerzy bardzo często nas opuszczają. Jeśli w takiej sytuacji nie mamy pracy, którą kochamy, jeśli nie mamy pasji, które nas pochłaniają, zostaje nam tylko samotność i rozpacz. Po co się na nie skazywać? Czy nie lepiej za młodu poszukać dla siebie zajęć, które sprawią, że niezależnie od wydarzeń w życiu osobistym będziemy mogli nadal czuć się komuś potrzebni?

- Czuję się dłużnikiem, więc pomagając, spłacam moje długi wobec tych, którzy mi kiedyś pomogli. Równocześnie zaciągam nowe, bo z ludzi, z którymi coś robie, czerpię siły do życia.

Czy miewa w swoim życiu momenty załamania, czy zdarza jej się wpadać w stany depresyjne? Mówi, że nie ma na to czasu, bo przecież ciągle ktoś na nią gdzieś czeka. ■